



jak zmartwiała. — Dziś mnie nawet rodzony ojciec nie pozna. Ta szrama na gębie, ta długa broda zmieniła mnie zupełnie, nawet głos mi się zmienił...

— Więc wy z wojny wracacie? — zawołała szybko pani Proszowska.

— Z wojny, paniusiu, z wojny.

— Dopiero teraz? — Przecie wszyscy już dawno powrócili!

— Kto mógł to wrócić, a byli tacy, co nie mogli.

— Kto wy jesteście? — przerwał pan Gajewski, podchodząc ku nieznanemu. — Zdaje się, że was znam, a nie mogę sobie dokładnie przypomnieć.

— Czy zabłądził w oczach przybyśza.

— Toć ja Jan Brzechwa...

— Brzechwa? — krzyknął starzec — więc wy wracacie z wojny? Witajcież mi w domu i siadajcie, opowiedzcie, może coś wiecie o moim zięciu?

— Mówcie, proszę was, Brzechwo — może co o Wiktorze wiecie? Przecież go znacie? Widzielście go? — mówiła pani Łucya, drżąc cała ze wzruszenia.

— Żyje tatuś? — spytała jej córeczka, przysnuwając się do Brzechwy.

— Żyje dziecińko, żyje. A dlaczego miałby nie żyć — odparł zapytany.

— Więc nie zginął? — zawołała pani Łucya.

— O mało nie zginął, ale żyje. Pod Mukdenem...

— Ciężko był raniony?

— No, ciężko nie ciężko. Ale ja myślałem, że on już wrócił.

— Więc miał wrócić?

— Pisał mi przecie obydwa, że na święta wrócimy.

— Żaden list nie doszedł.

— Pewnie te, psiawiary, nie puszczały listów ze szpitala.

— Więc wy obaj byliście w szpitalu?

— A byliśmy przez kilka miesięcy i lizaliśmy się obydwa, bośmy już byli bliżej grobu, jak życia.

— Gdzie?

— W Petersburgu. Naprzód w Charbinie leżeliśmy kilkanaście tygodni, potem nas przywieźli do Petersburga, gdzieśmy ledwie z życiem dojechali.

— Ale Wiktor żyje? — przerwała pani Łucya.

— Żyje. Obydwa wyjechaliśmy kiedyś z Petersburga, akuratnie, żeby tu na wilię przyjechać.

— Więc on tu będzie?

— Ja myślałem, że on tu już jest. Gdzieś mi się w Warszawie zgubił, a ja mam jego pakunek, bo on jeszcze słaby okropnie i przyniosłem go właśnie.

To mówiąc, położył na stole małe zawiniątko. Pani Łucya chwyciła to zawiniątko i drżąc, zaczęła je rozpakowywać. Pan Gajewski tymczasem podszedł do Brzechwy, uścił mu ręce i głowę złożył na jego piersi, nie mogąc wstrzymać się od łez.

— A myśmy go już oplakali, jużemy mieli za jego duszę się pomodlić, właśnie przed chwileczką.

Wtem z piersi pani Łucyi wydarł się straszny krzyk.

— Wszyscy zwrócili oczy na stół, gdzie leżała bluzka zmarłego, okropnie zbluzgana krwią, w kilku miejscach poszarpana.

— To granat, nasz własny granat — rzekł Brzechwa. — Jakaśmy uciekali z Mukdena, oficerowie stracili głowę i kazali strzelać za nami. Wtedy pan Proszowski i ja zostaliśmy ranni. Dobrze przynajmniej, żeśmy z życiem uszli, bo z takiego potoku ognia i kul trudno było nawet życie unieść.

— Siadajcie, Brzechwo, a mówcie dużo, opowiedzcie, co jest z Wiktorem, gdzie on teraz być może, dużo, dużo mówcie.

— Ba, kiedy i ja muszę iść do rodziny. Ja tylko chciałem odnieść to zawiniątko, tę jego „pamiątkę z wojny“, „śmiertelną koszulę“ — jak pan doktor to nazywał. On tu wróci za chwilę chyba. Jeżeli nie przyjechał tym pociągami co ja z Warszawy, to wróci następnym, bo mi się w Warszawie gdzieś stracił z oczu. A słaby jest jeszcze okrutnie. Wróci niezadługo. A teraz, bądźcie mi państwo zdrowi. I ja muszę do swoich.

Pożegnał się za chwilę i wyszedł z pokoju.

— A więc cud się spełnił! — zawołała pani Łucya, patrząc za nim.

— Spełnił się cud wigilijny. Czekajmy z opłatkami — rzekł pan Gajewski, ocierając łzy, obficie płynące po jego troskami i bólem poranej twarzy.



W małej izdebce, w oficynach domn pana Gajewskiego, radość nie miała granic. Oto przed chwilą powrócił z wojny Jan Brzechwa do żony, do dzieci. Zjawił się jak duch właśnie w chwili, kiedy najmłodszy jego synek modlił się za jego duszę do Bożi. Nie dawał zupełnie znać o sobie, a przecież czytać umiał i pisać, więc się go też już i nie spodziewano nawet.

Dzieci go nie poznały, gdy wszedł do izdebki, ale poznała go zaraz żona, która z krzykiem ku niemu przypadła, ręce mu zarzuciła na szyję i łkając ze wzruszenia, nie mówiła nic, jeno jedno jedyne słowo:

— Żyjesz!...

— A żyję Maryś, żyję — odparł Brzechwa, składając na jej czole długi pocałunek. Puścił mnie Maryś, bo dzieci chcą uściśkać. Tożem ich dwa lata nie widział. Jasiu, pójdziesz do mnie! Aleś ty wyrósł chłopcze! No chodź, chodź, nie bój się!

Chłopczyna, drżąc ze strachu, przysunął się do ojca i pocałował go w rękę. Brzechwa chciał go podnieść w górę, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Schylił się więc i uściśkał chłopczykę.

— A gdzie Stefcia? — przerwał, szukając oczyma po izbie. — Gdzie Stefcia?

Matka, zamiast odpowiedzi, wybuchła gwałtownym płaczem.

— Cóż się stało? Umarła?

— Umarła — rzekła szlochając — zabili ją kozacy.

— Kozacy powiadasz?

— Wpadli tu na dziedziniec i nuż rąbać i sieć, kogo znaleźli pod ręką. Stefcia przypadkiem była na dziedzińcu, dostała się pod konie, które ją stratały na miazgę prawie.

— Kiedyż to było? — spytał głucho Brzechwa.

— W lutym tego roku. 18 lutego. Pamiętam, jak dziś. Sądny dzień był wtedy w Łodzi. Kozacy hulali, jak smoki, żadne krwi. Zabili w ten dzień wielu ludzi w mieście, a ilu poranili? To Bóg sam wiedzieć może.

— Łotry. To wtedy różnieli nasze dzieci, jak myśmy nad Szaho krew przelewali własną i marzli ze zimna i głodu, wtedy oni mordowali naszych braci i dzieci! A gdzie Bóg? Gdzie pomsta jego? Trząsł się z oburzenia.

— Chodziły między nami słuchy, że u nas źle się dzieje w kraju, ale nie chcieliśmy wierzyć, nie mogliśmy wierzyć. W Petersburgu nam powiedziano, że to wszystko nieprawda. A gdzie brat mój, gdzie Wicek?

— Także kozacy go zabili na ulicy.

— Więc z czegoż wyście żyli?

— Z łaski pani Proszowskiej i dotychczas z niej żyjemy. A choćby nawet Wicek żył, to i tak musielibyśmy iść żebrac o łaskę, bo fabryki stoją. Wicek ciągle strejkował.

— A więc się wreszcie ruszyli?

— Tu była rewolucja.

— Niedawno wrócił do przytomności, a jakem tu jechał z Petersburga, nie wiedziałem sam o czym myśleć i nie pytałem nikogo o nic. Siedzieliśmy obydwa z panem Proszowskim w milczeniu. Więc była rzeczywiście rewolucja?

— Była...

W tej chwili dał się słyszeć z sąsiedniej izdebki śpiew:

„Boże, co Polskę przez tak liczne wieki,
Otaczał blaskiem potęgi i chwały“...

Brzechwa stanął jak osłupiały. Oczy otworzył i słuchał. A pieśń płynęła coraz dźwięczniej, coraz podnioslej, nabierała coraz więcej siły i potęgi.

Mały Jaś ukląkł przed obrazem Bogarodzicy i cienkim głosikiem ciągnął pieśń dalej:

„Coś ją ochraniał tarczą swej opieki“...

Głos malca zlał się z głosem sąsiadów i płynął w niebo pełną harmonii melodią. Brzechwa stał, nie mogąc zrozumieć, jakby szukał światła wśród ciemności. Otworzył usta, chciał coś mówić...

A tymczasem cała kamienica rozbrzmiała pieśnią. Ostatnie słowa zwrotki:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, Wolność racz nam wrócić Panie!“

wzbiły się pod niebo już potężną falą z kilkuset piersi ludzkich wydartą i popłynęły do stóp Boga jak huragan błagalny.

— Więc to u nas wolno? Wolno? — szeptał Brzechwa, promieniejąc szczęściem i ledwie trzymając się na nogach.

— Dzisiaj już wolno — odparła żona. — Dzisiaj już wolno! Mamy konstytucję!

A Brzechwa padł na kolana, wznosił oczy w niebo i modlił się:

— „Dzięki Ci, o Panie! Dzięki Ci Wszechmocny królów i cesarzów Władco! I nie żał mi już ofiar, które tę wolność życiem opłaciły i sam ległbym z rozkoszą w grobie dla tej wolności. Bądź błogosławiony, Stwórczo świata i ludzi!“

Głos mu drżał, gdy mówił te słowa. A tymczasem pieśń płynęła w niebo uroczystie, poważnie, pełna bólu i nadziei, cierpienia i szczęśliwej ufności w moc Pana.

